Grincha, zielonej anty-ikony Świąt nie trzeba nikomu przedstawiać. Niemal od siedmiu dekad ten gburowaty stwór na własnym przykładzie uczy małych i dużych o prawdziwym znaczeniu Bożego Narodzenia. Niestety, jak każda z kreacji Dr. Seussa, tak i Grinch przemielony został przez bezlistosną korporacyjną machinę na popkulturalną papkę. I choć główna oś fabularna wciąż tu jest, całości brak zarówno głębi, jak i ducha oryginału.

Pierwowzór literacki…

Choć imię Grinch przewija się w kilku wcześniejszych utworach Theodora Geisela (znanego czytelnikom jako Dr. Seuss), dopiero w 1957 zadebiutował on w swej znanej, nienawidzącej świąt formie. W niej to pięćdziesięciotrzyletni Grinch z nienawiścią spogląda na mieszkańców Ktosiowa zajętych przygotowaniami do zbliżającego się Bożego Narodzenia. Nie mogąc znieść kolejnego okresu wypełnionego radością i zabawą postanawia on raz na zawsze rozwiązać problem kradnąc święta. Przebrany za Świętego Mikołaja, z wiernym (choć pogardzanym niemal w równym stopniu co Ktosie) psem Maxem u boku wyrusza do wioski. Skradzione ozdoby, choinki, prezenty i łakocie mają zostać zrzucone z pobliskiej góry tuż po wysłuchaniu lamentu mieszkańców. Ci jednak znają znaczenie świąt i nie przejmują się stroną materialną. Ich radosny wspólny śpiew wprawia Grincha w zadumę, co pomaga mu zrozumieć co jest w tym okresie najważniejsze. Dzięki temu uczy się również czytelnik.

… i jego adaptacja

Najsłynniejszą (choć dziś już nieco przykurzoną) adaptacją jest krótka animacja Chucka Jonesa z 1966 roku zatytułowana „How the Grinch Stole Christmas!” (w Polsce znana jako „Grinch: Świąt nie będzie”). Wiernie opowiada historię z książek Dr. Seussa dodając typowego dla tego twórcy kreskówkowego sznytu. To tutaj Grinch po raz pierwszy pojawia się w swych zielonych barwach, a świat cieszy oko ciepłymi kolorami. Całości dopełnia narracja nieśmiertelnego Borisa Karloffa (który wypowiada też kwestie głównego bohatera), z niezapomnianą piosenką „You’re a Mean One, Mr. Grinch” w wykonaniu Thurla Ravenscrofta. Poza lekcją z morałem nie ma tu żadnych ulepszeń – co dobitnie pokazuje ponadczasowość historii.

Warta wzmianki jest również wersja z 1992 roku, w której to kadry z książki są tłem dla narracji Waltera Matthau (która to przypomina historię opowiadaną przez dziadka po wigilijnej kolacji).

Wersja aktorska…

Wielu z was drodzy czytelnicy zapewne pamięta (i równie zapewne wspomina z rozrzewnieniem) aktorską wersję historii z Jimem Carreyem w roli tytułowego gbura. Odchodząca od prostej formy pierwowzoru adaptacja pod postacią familijnej komedii próbuje być komentarzem postępującego konsumpcjonizmu - zwłaszcza boleśnie widocznego w okresie świąt. Z marnym skutkiem próbuje.

Najważniejszą zmianą jest tutaj (poza wyjaśnieniem dlaczego Grinch tak właściwie nienawidzi świąt) odwrócenie ról. To nie tytułowy bohater nie zna znaczenia świąt, lecz Ktosie z Ktosiowa. Pochłonięci potrzebą kupowania i konsumpcji zatracają swe serca. I to jest największy problem filmu - przez odwrócenie ról i ogólne zepsucie ani Grinch, ani Ktosie nie są dobrym przykładem do zrozumienia znaczenia świąt, a wbijany na siłę morał zostanie po prostu zignorowany. Przeciwwagą dla tytułowego bohatera jest tu Cindy Lou (pojawiająca się również w oryginale). Jej wątek jest całkowicie zbędny, a ona sama działa raczej jako rozwiązanie fabularne, niż pełnoprawna postać.

Nie pomagają też nawiązania do popkultury (które zwykle sprawiają, że film staje się dziecinny i przestarzały) oraz obraźliwe wręcz żarty, które nie przystoją historii. Dodając do tego wyprane kolory, karykaturalną wręcz wioskę i będące paliwem dla koszmarów projekty postaci (poza świetnym designem Grincha!) dostajemy parodię będącą ledwie cieniem historii Dr. Seussa. Niemniej, taki Grinch się sprzedał generując niemal trzykrotny zysk.

… i papka od Illumination.

Illumination przedstawiać nikomu nie trzeba. Mające na swym koncie produkcje z równie uroczymi, co irytującymi Minionkami studio bierze się za drugą po “Loraxie” adaptację Dr. Seussa. I choć tak jak w poprzednich produkcjach oko cieszy miękka animacja (pasująca zaskakująco dobrze do tych historii), tak całość przypomina raczej wersję dietetyczną. Bo choć jak w oryginale mamy zgrzytającego zębami na kolejne święta Grincha, to bliżej mu do Megamocnego z konkurencyjnego DreamWorks Animation. Nie jest zły - jest niezrozumiały. Przepełniony smutkiem ciągnącej się od dzieciństwa traumy unika świąt (i Ktosiów), spędzając czas ze swym wiernym - i tym razem kochanym - psiakiem (będącym inkarnacją Gromita) Maxem. Cindy Lou, która jest dla niego przepustką do lepszego życia, zdaje się być bohaterką z innego filmu - choć określenie “bohaterka” jest tu mocno naciągane, bo nie jest już nawet kimś, kto popycha fabułę do przodu. Gdyby ją wyciąć, historia bez niej niczego by nie straciła.

Fabularnie mamy tu wciąż tę samą historię, ale tak jak w przypadku “Loraxa” wszystko jest ugrzecznione i stonowane. Przez to będąca prawie trzy razy dłuższa od wersji z lat 60. produkcja ma jeszcze mniej do zaoferowania. Bohater (a wraz z nim widz) niczego się nie uczy, po prostu stając się częścią ogółu. Ktosiom w swym niekończącym się pozytywnym nastawieniu bliżej do kultu, niż normalnej społeczności. Ale jest bezpiecznie i zarobkowo - i o to twórcom chodziło. A morał? Morał jest taki, że prostota zapewni ponadczasowość i nieśmiertelność, gdy w grę wchodzi lekcja życia dla najmłodszych. Bez udziwnień, nawiązań i udoroślania.